



## W noc wigilijną.

Opowiadanie na tle ostatnich wypadków w Królestwie.



**N**oc cicha, pełna tajemniczych drzeń, rozeszła się nad miastem.

Ustał gwar dzienny, życie na ulicach zamarło prawie zupełnie; gdzieś tam tylko migłała w blasku światła latarni sylwetka człowieka, spieszącego się po zmarzłym śniegu. Od czasu do czasu przeciągał ulicami zimny, mroźny

wiatr, podnosząc z ziemi kryształne igiełki śniegowe, ścięte mrozem, które niby robaczki świętojańskie wirowały w powietrzu. Niebo zasłane było ciemną powłoką chmur, które przysiadły, zdaje się nad miastem i spowiły je posępną grozą ciemnością.

A jednak była to noc dziwnie majestatyczna, dziwnie uroczysta. Zdało się, że świat cały nagle się odmienił, spoważniał i choć ponury, krył w sobie jakąś świętość.

Okna domów, jasno oświetlone, wskazywały, że całe życie miejskie skoncentrowało się teraz w zaciszu domowego ogniska, że dzień ten miał jakąś dzwną moc w sobie, moc, która każdego przykuwała do rodziny, do swoich, do bratniego kółka.

Była to noc wigilijna.

Przy jednej z odleglejszych ulic Łodzi, zamieszkańskich wyłącznie prawie przez robotników, zwracał uwagę skromny, jednopiętrowy dom, jakiś dziwnie samotny i cichy, jakby się wstydył swej starości. Podczas gdy inne domy, nawet mniejsze, gorzały blaskiem światła i tchnęły jakąś wesołością, urokiem, dom ten był skromnie zaledwie oświetlony, w kilku oknach nawet nie było światła zupełnie. Ponura troska zdała się go obejmować swymi upiornymi skrzydłami.

W małym saloniku na pierwszym piętrze, zajmowanym przez właściciela tej kamienicy, p. Gajewskiego, zebrała się cała rodzina sędziwego fabrykanta. Pan Gajewski, dobrze już siwizną przyproszony staruszek, siedział przy jednym końcu stołu, nakrytego bieluchną serwetą. Przed nim leżały opłatki, tradycyjne owe opłatki, stanowiące pewnego rodzaju świętość w dzień wigilijny w każdej polskiej rodzinie, czy to w złocistych, bogato zdobionych komnatach, czy pod biedną wiejską strzechą, czy w suterrenach u nędzarzy. P. Gajewski, przez krewnych i znajomych zwyczajnie z powodu podeźłego wieku patryarchą zwany, siedział w milczeniu, jakby w sennych zatopiony wspomnieniach. Biała jego broda spływała mu na piersi, usta jakby się niewidzialnie poruszały, w oczach gorzały jakieś dziwne blaski.

A może to były łzy?...

Po prawej jego ręce siedziała młoda kobieta, o rysach pięknych, regularnych, przyciemnionych jeno jakąś dziwną chmurą melancholii czy troski, która jej białe czoło, przysłonięte puklami jasnych blond włosów, zawczasu porała bruzdami. Na kolanach jej siedziała dziecina, może dwuletnia, istny cherubinek z niebieskimi, czarnymi oczyma, bawiąc się koronkami matczynej sukni. Była to jedyna córka pana Gajewskiego, Łucya.

Wyszła ona za mąż przed pięciu laty za młodego lekarza, Wiktora Proszowskiego. Pierwsze lata pożycia minęły im wśród niczem niezamąconego szczęścia. Oboje młodzi, zakochani w sobie, pełni różowych na przyszłość nadziei, stanowili największą pociechę p. Gajewskiego, który zięcia kochał jak własną córkę. W rok po ślubie powiła uroczą pani Łucya córeczkę, której dziadek nakazał dać imię to samo, jakie jej matka nosiła. Na chrzcie otrzymała więc dziecina imię Łucyi. W dwa lata później przyszedł na świat synek, Czesław. Radość ojca i dziadka nie miała granic. Pieszczono dziecięta, chuchano na nie poprostu, a one reszły jak na drożdżach. Czesiu umiał już nawet mówić i całymi godzinami szczebiotał na kolanach dziadka.

Mała Łucya siedziała tuż obok matki. Po przeciwnej stronie stołu stało jeszcze jedno nakrycie, nie wiadomo dla kogo przygotowane.

Pan Gajewski przebudził się z zamyślenia. Spojrzał na córkę, na dzieci, szczebioczące z matką i dużą łąstą czyła mu się po policzkach. Wstał i chrząknawszy nieco zwrócił się do córki.

— Niema co czekać dłużej — rzekł suchym głosem, ale znać było, że go ból jakiś wewnątrz pali i gnębi — już się go dzisiaj nie doczekamy. Może zaczniemy wilię.

Pani Łucya spojrzała nań takimi oczyma, że staruszek zabrał głos znowu, aby ją uspokoić.

— Widzisz, aniołeczku, byłby choć coś napisał, byłby coś dał znać o sobie. Lepiej przestać się łudzić. Wojna, córeczko, pożera ludzi tysiące i nie przebiera nigdy. Wprawdzie Wiktor nie był wymieniony na liście zmarłych w szpitalu, ani na liście zabitych na polu walki, ale przecie, jeśli nie wrócił do dziś dnia, to, gdyby żył, mielibyśmy jaką taką wiadomość od niego. Widocznie legł, jak legło tylu innych, jak legło tysiące młodzieży, pognanej tam, na daleki Wschód, przeciw tym, którzy nam nic nie zawinili, których my nawet nie znamy. Z tem trzeba się pogodzić. Widocznie zginął i nie znaleziono go nawet i może on teraz śpi tam, gdzieś na polach mandżurskich, zdaleka od swojej ziemi, a wicher mu wyje „wieczny odpoczynek“.

— Wiktorku mój! Wiktorku! — jęła pani Łucya, aż się mały Czesiu przestraszył i również płakać zaczął.

— Trudno, moje dziecko; na nic się lamenty nie zdadzą. I mnie serce pęka, i ja czuję, jak ta niepewność boli. Ale trzeba się uspokoić, dziecino, uspokoić.

Ale i jemu głos uwiązł w gardle.

Pani Proszowska głośno zawodziła. Nie mógł znieść tego staruszek, więc ozwał się znowu:

— Czekaliśmy oboje cudu, dziecino. Tak, bo jeżeli Wiktor dotychczas nie wrócił, to dlaczegoż właśnie miałby wrócić w samą wigilię?

— O Chryste! Zmiłuj się nademną i nad moimi dziećmi! — szepnęła złamana bólem kobieta.

A pan Gajewski mówił dalej:

— Wmówiliśmy w siebie, sam nie wiem kiedy i dlaczego, że Wiktor wróci w wigilię. I czekaliśmy go z utęsknieniem i niecierpliwością, przekonani, że Boska Dziecina, schodząc na świat, przywróci tobie męża, mnie prawdziwego syna i podporę. Bóg chciał inaczej a wola Jego jest święta i przeciw niej postępować nie godzi się. Dzisiaj, w tę noc wigilijną, dzisiaj poddajmy się Opatrzności i prosimy jeno Boga, aby się nad duszą jego nad ulitował.

— Dzisiaj właśnie, dzisiaj, w noc wigilijną — szeptała półgłosem pani Łucya — minął rok, jak go nam zabrano. Pamiętam jak dziś. Przyszedł do mnie w mundurze wojskowego lekarza, ucałował dziecięta, wziął Czesia na ręce i podczas, gdy ja łkałam na jego piersi, on pocieszał mnie, że wszystko będzie dobrze, że wróci zdrów do mnie i do dzieci.

— Bóg chciał inaczej — przerwał jej staruszek.

— Jeśli go zabrał do siebie, to....

Nie, nie mogę mówić, ani płakać nie mogę.

Gardło mi

zaschło zupełnie. Ale ja jeszcze wierzę w cud, wierzę w cud wigilijnej nocy...

— Oby ci Bóg oszczędził złud — rzekł starzec, podchodząc ku niej z opłatkiem — Niech ci życie płynie spokojnie i szczęśliwie.

— Dziękuję ojcu i nawzajem tego samego życzę.

A dziaduś zwrócił się do małego Czesia.

— Cóż, dziecinko, tobie mam życzyć? Rośnij, jak dąb, na pociechę matce i moją — no, ułam opłatka — tak — i na pożytek społeczeństwu. Będziesz Czesiu, co?

A malec odpowiedział:

— Tak, — swoim przeciągłym głosikiem.

— A tobie, Łuciu, tego samego życzę, co Czesiowi. Ucz się dobrze, a tatuś się będzie cieszył tam w niebie.

— Dziękuję dziadzi. Ale ja czuję, że tatuś jest na ziemi, nie w niebie i zdaje mi się, że tatuś dzisiaj wróci.

— Nie wróci, nie... — odparł jej dziadek. Ale w tej chwili usłyszał nieśmiało pukanie do drzwi. Jakto? Czyżby cud się spełniał?

Któżby mógł do nich o tej godzinie przychodzić?

Pytający wzrok skierował starowina na córkę, również tajemniczą ciekawością jakby skamieniałą. Przez małą chwilę panowała w saloniku taka cisza, że słychać byłoby szelest skrzydeł muchy. Przerwała ją mała Łucya, która podbiegła ku drzwiom i otworzyła je.

Na kurytarzu stał człowiek jakiś wysoki, z długą brodą, który, jak się na pierwszy rzut oka wydawało, z dalekiej dopiero powrócił podróży. W oczach jego płonęła jakaś nienaturalna radość, szeroko rozwarte białka gorzały jakimś dziwnym szczęściem. Wargi drżały, chcąc widocznie wyrzucić z siebie jakąś radosną nowinę.

— Proszę wejść — rzekło dziewczętko.

— Panienko śliczna, Bóg ci zapłać — wykrztusił przybysz, jakimś od radości aż drżącym głosem i wszedł do saloniku, — a zbliżywszy się do pani Proszowskiej, rzekł:

— Całuję rączki pani dobrodziejki.

Nie odsunęła ręki. Patrzała nań tylko szeroko rozwartymi oczyma, z których czytać było można pytanie: ktoś ty? coś ty za jeden?

— Ja... chciałem państwu życzyć wszystkiego dobrego w dniu wigilijnym — mówił dalej przybysz, widząc że pan Gajewski patrzył nań zdziwiony, nie odzywając się ani słowem. — Ale państwo mnie nie poznajecie?

— Ktoż wy jesteście? — przerwał mu pan Gajewski.

— Więc mnie pan nie poznał?

— Nie.

— Nic dziwnego. Wojna zmienia ludzi okropnie. Ot i ja byłem dawniej chłop jak dąb, a dziś z trudnością trzymam się na nogach. I w piersiach ciągle kłuje, a ręką jedną i ruszyć nie mogę, bo

